

*Joanna Pawłowicz*

*Taniec z wiatrem*



Kraków 2010

Wydawnictwo Biblioteka Nowej Ziemi 2010

Copyright © 2010 Joanna Pawłowicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji jest zabronione. Wykonywanie kopii bez pisemnej zgody powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.



Projekt okładki: Mateusz Osajda

Skład i opracowanie graficzne: [www.jokov.pl](http://www.jokov.pl)

Druk i oprawa: K&K reklama poligrafia, [www.kandk.com.pl](http://www.kandk.com.pl)

ISBN: 978-83-61897-28-6

Wydawnictwo Biblioteka Nowej Ziemi

---



*Węgrzce A 10/50, 32-086 Kraków*

*tel. (012) 285 87 26 fax. (012) 286 30 81*

*biuro@biblioteka-nz.pl, [www.biblioteka-nz.pl](http://www.biblioteka-nz.pl)*

*Dedykuję  
Ryszardowi Biskupskiemu  
mojemu nauczycielowi Ma-uri,  
dzięki któremu wszystko się Dzieje*

## Przedmowa

Nie sądziłem, że można napisać tak piękną i dojrzałą duchowo książkę, jak „*Taniec z wiatrem*” Joanny Pawłowicz. Książkę, która z jednej strony, okazuje się faktologicznym zapisem ważnych wydarzeń w ludzkim życiu, z drugiej zaś, opowieścią o intuicyjnym poszukiwaniu własnej drogi – **tu i teraz**.

To edycja pod każdym względem unikatowa, którą – przy całej umowności tego określenia – można by nazwać wielowątkowym *reportażem duchowym*. Nie tylko dlatego, iż jego najważniejszy plan tworzy transformujące się wewnątrz autorki, która nieustannie próbuje odnaleźć, także w warstwie metafizycznej, własne korzenie. To również sprawa warsztatu pisarskiego, za pomocą którego zostaje nawiązany kontakt z czytelnikiem. W „*Tańcu z wiatrem*” jest on cudownie plastyczny, a jednocześnie zdumiewająco dojrzały literacko, co dziś – zwłaszcza dziś – stanowi prawdziwy ewenement.

Joanna Pawłowicz potrafi *ubrać* swoje doświadczenia w przepiękne metafory, bezbłędnie posługując się językiem wyobraźni oraz sugestywnych obrazów. I nie jest to jedynie zasługa *wyprawy życia* do Nowej Zelandii, dla której punktem wyjścia był masaż ma-uri i urzekający, a zarazem uwalniający, by tak rzec, mistyczny maoryski taniec, jaki poznała za sprawą Kattji i Hemiego Foxów prowadzących w Danii znany

na całym świecie ośrodek, lecz także konsekwencja poszukiwania źródeł własnej tożsamości w zupełnie innym zakątku Ziemi: na Białorusi, gdzie historia bezlitośnie przeorała niegdysiejsze koleje ludzkich losów wraz z zakodowanymi w nich doświadczeniami dzieciństwa.

Gdy więc Joanna pisze, iż jej *pierwotna natura jest nieodgadniona* oraz że *ma w sobie moc i niewyczerpane możliwości*, ona sama zaś czuje się przy niej *pyłkiem na wietrze, drobiną piasku, najmniejszą kroplą w oceanie*, a jednocześnie *ona jest we mnie. Ja jestem nią. Jestem gwiazdowym pyłem, nieskończoną przestrzenią, kosmicznym wichrem. Ona hula w mojej duszy, tworząc wir i zamieszanie* – trzeba z uwagą pochylić się nad tą refleksją i świadomym wyborem życiowej drogi zgodnej z zasadami Huny. Pierwsza z nich, najważniejsza, mówi, że *świat jest taki, jaki nam się wydaje, że jest* – inna zaś głosi, iż jedyne ograniczenia, które istnieją, tkwią w naszym umyśle.

Obok wszystkich myślących i czujących więcej niż inni „*Taniec z wiatrem*” powinni przeczytać ci duchowi nauczyciele, którzy swoje prawdy, niekiedy skądinąd cenne i wartościowe, rozpowszechniają z pozycji jednego słusznego oglądu świata, czyniąc to za pomocą napuszonego języka ocierającego się niekiedy o banał, bardzo słabo natomiast skomunikowanego z najbardziej sekretnymi przestrzeniami wnętrza konkretnego człowieka, do jakiego adresują swoje przesłania. *To, co najważniejsze i najcenniejsze*

*w tobie, to dusza* – pisze autorka i nie ma powodu, by jej nie wierzyć, zwłaszcza że w autobiograficznych zapiskach okazuje się niekiedy szczerą do bólu, do łez, do utraty tchu. Jest w tych zwierzeniach trauma stanowiąca konsekwencję wydarzeń z przeszłości – i wyzwolenie, którego źródłem okazują się obecne doświadczenia, zmaterializowane zarówno na planie fizycznym, jak mentalnym, prowadzące – poprzez intuicję oraz miłość – ku Światłu. A nad wszystkim tym, gdzieś w *nadprzestrzeni*, zawisa pytanie – opoka, które kiedyś wyartykułował w jednym ze swoich utworów poeta Wiesław Malicki: *Kto nam powie nie kłamiąc, gdzie nasze gniazda*.

Chapeau bas dla Joanny Pawłowicz i wydawcy, dzięki którym Czytelnik ma okazję przeczytać czarowny (nie mylić z *czarodziejskim*) w całym znaczeniu tego słowa „*Taniec z wiatrem*”.

Marek Rymuszko

*Redaktor naczelny miesięcznika Nieznany Świat  
Prezes Stowarzyszenia Krajowy Klub Reportażu*



I

**PRZEKRACZANIE  
GRANIC**





## łoty deszcz

Sosny tańczą na wietrze. Zamiatają niebo swymi czuprynymi. Obejmują pień mocno i czują jak chwieje się leciutko. Tam na górze wicher szarpie i kołysze wierzchołkami drzew. Tu - na dół - dochodzą tylko słabe drgnienia, ledwo wyczuwalne pod palcami. Pod naskórkiem drzewa, korą splekaną i żywiczną, czują pulsowanie soków.

Nagle na sosnowy las spada deszcz złotych płatków. Przylatują nie wiadomo skąd, rozświetlają półcień lasu i opadają na ziemię. Leci ich coraz więcej i więcej, kręcą się, wirują. Złoci się cała okolica. Stoję zadziwiona tym zjawiskiem. Oczarowana. To tylko listki brzoź, które wiatr przywiał z sąsiedniego zagajnika.

Osiem miesięcy temu byłam w kraju, gdzie nie ma jesieni. Tam nie mógłby się przydarzyć złoty deszcz. Świat jest wiecznie zielony. Nazwałam go rajem i chciałam zostać na stałe. Teraz myślę, że brakowałoby mi jesieni, barwnych bukietów liści, tych wszystkich odcieni złoto - czerwonych.

- Musiałś jechać tak daleko, żeby rozmawiać z drzewami? - spytał Leon, kiedy wróciłam i opowiadałam o kauri - Bogu Drzew w Nowej Zelandii. - Nie można było tu, w naszym lesie, ze świerkiem?

Można. Tu też rozmawiam z drzewami - ze świerkami, sosnami, ze starą lipą i młodym dębem. Leon nie był jednak w raju i nie wie, że tam nawet zwykła rozmowa ma inny wymiar.

## Marysia

- Jesteś! Słoneczko moje, jakże się cieszę! - kocie oczy się śmieją, rzucając figlarne błyski, ręce wyciągają się na powitanie.

Wyprawa bez Marysi nie byłaby możliwa, a na pewno stałaby się całkiem czymś innym. Jak ona chodzi! Jakby każdym krokiem zdobywała nową ziemię. Idzie skacząc i tańcząc, ni to dziecko, ni to ptak, który zaraz poderwie się do lotu. Wszędzie, na końcu świata, w każdych warunkach, wynajdzie miejsce, gdzie podają kawę w ładnej filiżance i jeszcze tak zbałamuci sprzedawców, że spod ziemi wytrzasną dla niej cynamon. Bo kawa musi być mocna, z odrobiną śmietanki i koniecznie z cynamonem. Nigdy też nie rozstaje się ze swoim termosem, w którym ma zawsze herbatkę z imbirem.

- Chce wam się pić? Idźcie do Marysi, ona na pewno coś ma - takie zawołanie należało do wyprawowej codzienności.

Bo też tajemniczy termos miał takie właściwości, że herbatka z niego nigdy się nie kończyła. A jeśli się zdarzyło, że wszyscy byli głodni i załamani, i nikt już nie miał nic do picia ani jedzenia, Marysia wyciągała z czeluści swojego nieodłącznego plecaka imbirowe ciasteczka. I w każdym, najbardziej nawet przez ludzi i Boga zapomnianym zakątku kraju potrafiła wynaleźć kawałek korzenia imbiru, aby nasze życie stało się radośniejsze dzięki specjalnej herbatce. Nikt inny, tylko ona, karmiła nas "paciarą" - domo-

wą owsianką według jej receptury. Dlatego jej dyżur w kuchni nie kończył się nigdy.

Ale nie dlatego zaprzyjaźniłam się z Marysią. Połączyła nas jakaś siła, może na zasadzie przyciągania przeciwieństw. Ja zamknięta w sobie, ona otwarta i bezpośrednia, ja poważna i trochę zawsze smutna, ona radosna jak dziecko, ja dzieląca każdy włos na czworo, ona beztroska i mająca ciągle figle w głowie. Stało się to już w Danii, na warsztatach masażu, w Instytucie Katji i Hemiego Foxów.

Tam tak naprawdę zaczęła się wyprawa. Zobaczyłam zdjęcia z Nowej Zelandii i zakiełkowałam we mnie myśl: jadę! Bawiliśmy się we wróżenie z kart przyszłości. Ja sięgnęłam po jedną z nich z myślą o wyprawie. Wyciągnęłam czystą. Wszystko zależało ode mnie.

- Jedziemy do Nowej Zelandii! - oznajmiła Marysia jakiś miesiąc po powrocie z Danii. - Widziałam to w mojej wizji. Byłyśmy wszystkie trzy: ja, ty i Beata. To musi być prawda. Szykuj się.

Beata nie pojechała. Ale ja wypełniałam swoją czystą kartę dzień po dniu marzeniami, pragnieniami, ciężką pracą. Wizja spełniła się częściowo. Pojechalśmy we dwie. Był to kolejny etap przekraczania barier i osiągania rzeczy niemożliwych. Dla mnie pierwszym etapem był wyjazd do Danii. Dla Marysi pokonanie własnej choroby, która miała być nieuleczalna. Dla niej nie ma jednak rzeczy niemożliwych. Kiedy pojawiają się problemy, najpierw martwi się i smuci. Nie potrafi jednak robić tego zbyt długo.

- Aaa, coo tam - mówi swoim niskim, wibrującym głosem. - Co ja będę wytracała czas na jakieś sprawy, na które i tak nie mam wpływu. Będzie, jak ma być.

I radośnie bierze się za porządki, robi ludziom masaże, czy też wyjeżdża w góry. A problemy same się rozwiązują. Marysia idzie dalej przez życie swoim tanecznym krokiem, z uśmiechem na twarzy i ciepłem w dłoniach.

- Ale czarodziejsko! - woła w zachwycie.

## *Pieśń delfinów*

Przechadzka z Jerzym. Rozpoznajemy kwiaty w przydomowych ogródkach. Jerzemu szczególnie podobają się lwie paszcze. Idziemy aleją pięknych starych wierzb. Jego dłoń w mojej kieszeni. Niezwykła delikatność palców, miękkość skóry.

Co chwilę zachwycą mnie kolejna kompozycja z powalonych pni, ułamanych konarów. Opowiadam mu o ziołach: to wrotycz, to wiesiołek, a te wielkie to topinambury. Mają jadalne bulwy, pochodzą z Ameryki Południowej.

- Mądrutka jesteś! - dziwi się Jerzy.

- No, mam trochę wiedzy - odpowiadam skromnie.

“Nawet nie wiesz, ile” - mam ochotę dodać.

- Wiedza to nie mądrość. O, nie - kręci głową Jerzy i rozpoczyna wykład “na temat”.

Skręcamy w ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki. Jest zarośnięta, po lewej stronie wspaniały, dziki krajobraz.

- Zabetonują to wszystko, zabudują - z goryczą mówi Jerzy.

- Nie! - buntuję się. - Może nie dadzą rady, to taki podmokły teren.

- A gdzie tam! Już gruz zwożą z całego Szczecina. Niczego nie uszanują.

Ogarnia mnie rozpacz, ale tylko na chwilę. Trzciny tańczą na wietrze, a my idziemy dalej. Jerzy obejmuje mnie mocno. Przez ten krótki czas czuję, jakbyśmy byli jedną osobą. Przystajemy pod dębem, potem pod topolą. Kradzione chwile wzruszeń. Już tak dawno nie odczuwałam czegoś podobnego. Rozmawiamy o Nowej Zelandii.

- Jeśli naprawdę czujesz, że musisz, to jedź - mówi Jerzy. - Ale to tyle kosztuje!

- Dla mnie to podróż życia! - oponuję.

- Twoja podróż życia to Białoruś! Do korzeni.

Rozmawiamy o Białorusi, a we mnie rodzą się wątpliwości.

\* \* \*

Obraz chmur pędzonych przez wiatr. Dołem białe, kłębiaste, przesuujące się bardzo szybko. Górą ciemnoszare, zwarte, sunące powoli, niczym wielka ławica ryb. Wiatr szalejący w koronach drzew, wyjący w drutach elektrycznych. Mam wrażenie, że wszystko naraz odfrunie, łącznie z domkami i ich

obejściami. Zostanie wszędzie pusta przestrzeń. Lecz domy i drzewa trzymają się mocno. Ja też pewnie stąпам po ziemi, silniejsze poddmuchy tylko zrywają mi kaptur i rozwiewają włosy.

Moje myśli krążą wokół babci Lusi i pozostałych z Białorusi. Nasza rodzina została rozwiana jak liście na wietrze. My tu, oni tam. Kto wie, gdzie reszta? Kto jeszcze zna historię naszej rodziny, kto pamięta? Kto odtworzy naszą legendę? Czy tylko ja to mogę zrobić? Zastanawiam się, dlaczego los tak się potoczył. I co by było, gdybyśmy siedzieli na swojej ojcowiznie, w majątku zwanym Złotym Brzegiem. Pokolenie za pokoleniem, wspominając nasze dzieje i kultywując tradycję. Kim byłabym dzisiaj?

Rano wyrzuciłam kamyki. To taka wróżba. Najpierw czerwony znalazł się przy białym, potem zielony. Wynik jest oczywisty. Nie jadę do Nowej Zelandii, tylko na Białoruś. Będę pisać książkę. Sama jestem zaskoczona, jak szybko i łatwo dojrzała we mnie ta decyzja.

Myślę o rodzinie ojca, która do czasu wielkiej wędrówki na zachód mieszkała w Wołkowysku. Dziadek Broniek przed samą wojną skończył budowę domu. Teraz mieszkają tam obcy ludzie. Dziadka już nie ma. Przed oczami staje mi jego siostra Emilia. Niezwykła kobieta. Co roku przyjeżdżała w odwiedziny do swego brata, choć on wcale tego nie pragnął. Nigdy nie okazywała niezadowolenia ani żalu. Pozostawała tak długo, dopóki dziadek prawie jej nie wyrzucał, czyli około dwóch tygodni.

Z mojej dziecięcej perspektywy ciocia Emila, bo tak ją nazywałam, przypominała wielką piramidę. Na wierzchołku niewielka spiczasta głowa ozdobiona trójkątną chusteczką, dalej wąskie ramiona. Im niżej, tym jej postać coraz bardziej się rozszerzała i potężniała, kończąc się szerokimi spódnicami, spod których wystawały niezbyt pasujące do całości buty.

Jej przyjazd witałam zawsze z wielką radością, gdyż oznaczał nieodmiennie wianuszki obwarzanków, prosto ze Szczecinka. Była pogodna i radosna, cała promieniowała jakąś szlachetnością. Uwielbiałam ją, bo w przeciwieństwie do innych dorosłych, umiała ze mną rozmawiać.

Dużo później poznałam jej historię. Gdzieś w ich obejściu Rosjanie znaleźli broń w czasie wojny. Emilię i jej męża zesłano na Syberię. Po pół roku mąż wrócił - ona wzięła całą winę na siebie. Spędziła na zesłaniu ponad dziesięć lat. Po powrocie przeżyła w dobrym zdrowiu do późnej starości, nigdy się nie skarżąc i ciesząc tym, co ma. Mąż zmarł dużo wcześniej.

\* \* \*

Znowu pada. Na dachu stodoły, mimo deszczu, uwija się energicznie kopciuszek. Z radosnym ćwierkaniem podlatuje do niego pliszka. Żerują obok siebie w zupełnej zgodzie. Na dach usiłuje się dostać drugi kopciuszek, lecz zostaje zdecydowanie przepędzony przez "dachowca". Teraz na wierzchołku stodoły przysiadł przemoknięty szpak. Za chwilę



odlatuje ze stadem innych szpaków, które w powietrzu wykonują niesamowite ewolucje. Pikują gwałtownie w głąb ogrodu, podrywają do góry, rozdzielają na dwa strumienie, potem pędzą - każdy w inną stronę, stwarzając wrażenie chaosu i niepokoju. Być może gdzieś na niebie pojawił się drapieżnik. Deszcz się nasila. Mój kopciuszek schronił się pod dachem stodoły.

Taki obraz: babcia Tania, dziadek Mateusz i moja mama w czasie wojny biorą udział w ucieczce. Cywilna ludność wędruje całą gromadą w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Ich domy zostały zniszczone, wieś zbombardowana. Przechodzą przez długi most na rzece. Babcia nie ma już siły, zostaje z tyłu. Wysyła dziadka z mamą, która jest małą dziewczynką, do przodu. Most ma zostać za chwilę wysadzony w powietrze. Cała grupa znajduje się już na drugim brzegu.

Nagle z tłumu wrywa się mała postać i biegnie z powrotem, do babci, która została sama na moście. Chwyta ją za rękę i wolno, wolniutko przeprowadza. To moja mama. Żołnierze czekają. Kiedy mama z babcią znajdują się na stałym lądzie, most wylatuje w powietrze. Kiedy to piszę, łzy płyną mi po twarzy. Wzrusza mnie ofiara babci i poświęcenie mamy. Niby małe, ale jednak wielkie - bo stawiające na szali własne życie - bohaterstwo.

Ile takich obrazów jeszcze przechowuję? A ile bezpowrotnie przepadło? Tylko ja jestem w stanie je odtworzyć. Zbieram perełki wspomnień, z trudem wyłuskuję z niepamięci, nanizuję na nitkę.

Czy uda mi się stworzyć wartościowy naszyjnik?  
Złożony ze zdarzeń, których nikt już nie pamięta.  
Może babcia Lusia...

Dlatego koniecznie muszę jechać na Białoruś.  
Ta sprawa nie może czekać. Ani chwili dłużej. Dziękuję Jerzy! Dziękuję za Twoje rady i za Twój upór w kierowaniu mnie do celu. Próbujesz to robić od dawna. I w końcu się udało. Dziękuję.

Wieczorem spacer po lesie, po raz pierwszy od dwóch dni. Czuję się oszołomiona, jak po długich miesiącach choroby, albo jakbym po wędrowce podziemnymi tunelami nagle wyszła na światło dzienne. Spod nóg umyka mi zając - powoli, bez lęku. Skrol patrzy na mnie pytająco. Natura podpowiada mu pogoń i polowanie, ale ja tu jestem przewodnikiem stada. Śmieję się i odwracam jego uwagę gonitwą z patykiem. To nasza ulubiona zabawa. Sójka skrzeczy ostrzegawczo nad głową.

Nagle spostrzegam, że nie wiem, gdzie jestem. Wśród zabaw i śmiechu zgubiłam drogę. To takie zabawne - zgubić się w znajomym lesie. Rozkoszuję się tą chwilą, udając sama przed sobą, że to wyprawa w nieznaną. Wracamy pełną drogą. Skrol wskazuje do każdej napotkanej kałuży i tapla się radośnie w błocie.

\* \* \*

W drodze powrotnej ze Szczecina: obraz mistrza na niebie - jako specjalny prezent dla mnie. Zachodzące słońce w kolorach złota i purpury. Wy-

żej granatowe chmury malowane we wzory lilaróż. Pasma zielonkawego nieba niczym małe okienka w ciemnej zasłonie. Czegoś tak pięknego dawno nie widziałam. Jedyne pędzel natury potrafi stworzyć takie arcydzieła. Postanawiam nie rezygnować z Nowej Zelandii. Może uda się jedna i druga wyprawa. Białoruś ma pierwszeństwo, ale Nowa Zelandia to moja radość.

\* \* \*

Od poniedziałku - dnia nowiu księżycy - tańczę w intencji wyjazdu do Nowej Zelandii. Taniec to mój żywioł, a Nowa Zelandia - podróż życia. "Trzeba gonić swe marzenia". Tylko to daje prawdziwą radość. Nie wiem, czy pojedę, ale im dłużej tańczę, tym bardziej utwierdzam się w tym przekonaniu. Taniec daje mi moc. Wszystko staje się możliwe. Nowa Zelandia jest realna, jawi się we wszystkich kolorach i obiecuje to, o czym zawsze marzyłam. Podróż, przygodę, nieznaną. Nawet miłość - w najpiękniejszym wydaniu - nieosobową i ponadczasową.

Słucham płyty z nagraniami głosów delfinów. Niezwykle wrażenie. Wydaje mi się, że prawie je rozumiem. To tak, jakbym spotkała dawno nie widzianych znajomych, z którymi kiedyś się porozumiewałam, a teraz zapomniałam ich języka. Czasami brzmi on jak głos dziecka, a czasami ptaków. Delfiny ciągle są ze mną, poprzez swoją pieśń stały się bliskie. Czuję, jakby przez meandry życia prowadziły mnie ku spełnieniu marzeń.

## *Mały wielki człowiek*

Wydaje mi się, że znam go od zawsze. Początek naszej znajomości gubi się gdzieś w odległej przeszłości. Dzięki niemu w moim życiu dzieje się wszystko, co niezwykle i piękne.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Ryszard zajmuje się masażem polinezyjskim Ma-uri. Chciałam kiedyś napisać o nim artykuł.

- Dobrze, Joanno - powiedział ze swoim rozbajającym uśmiechem. - Ale musisz wiedzieć, o czym piszesz. Przyjdź na masaż.

Wpadłam w panikę. Nigdy w życiu nie byłam na żadnym masażu. Umówiliśmy się, ale wciąż szukałam jakiegoś wyjścia z sytuacji. W dniu spotkania postanowiłam: wywiad - tak, masaż - nie. Z tym nastawieniem zadzwoniłam do drzwi. Ryszard otworzył promiennie uśmiechnięty, ubrany tylko w barwną lavę- lavę przepasaną na biodrach.

- Witaj, Joanna. No, rozbieraj się i kładź. Ja zaraz przyjdę.

Nie było wyjścia. Zostawił mnie samą. Stół do masażu stał przygotowany. Potem się zaczęło. Piękna muzyka. Pierwszy dotyk. Napływające obrazy: pachnący ogród z mojego dzieciństwa, słońce, wielobarwne kwiaty. Fale rozmaitych uczuć, przepływające jedna po drugiej. Radość, wzruszenie, smutek, żal. Łzy, które płyną i płyną, jakbym nigdy w życiu nie płakała i dopiero dzisiaj postanowiła uwolnić cały ich zapas. Poczucie lekkości, uwolnienia.

Tak, wiedziałam, o czym mam pisać.

Kolejne spotkanie po roku. Sama odważyłam się przyjść na masaż. Moje biedne serce domagało się pomocy.

- Wiesz, od stycznia zaczynamy warsztaty masażu - mówi Ryszard już po zabiegu, przy herbatce, - w takim fajnym przedszkolu. Zgłosiło się już trochę osób, ale jeszcze parę miejsc jest wolnych. Jakbyś o kimś słyszała... Sam Hemi dał nam swoje błogosławieństwo. Napisał do nas list. Chcesz, to przeczytaj.

Trzymam w ręku list od Hemiego - wielkiego nauczyciela Ma-uri i nie wiem, co się dzieje, dlaczego nagle mówię:

- Wiesz, Rysiu, ja też zapiszę się na ten warsztat.

Przełomowy moment. Nieoczekiwana decyzja, bez której nie byłoby Danii, Nowej Zelandii, powrotu do zdrowia ani innych pozytywnych zmian w moim życiu. Do dzisiaj pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego to zrobiłam. Jakie siły mną kierowały?

Ale kto raz się znajdzie w aurze Ryszarda, musi pogodzić się z tym, że dzieją się rzeczy niewytłumaczalne. Życie przestaje biec liniowo, a zatacza niebywałe kręgi, pojawiają się bramy tam, gdzie był tylko mur, otwierają światy równoległe, zdarzają przypadki niezwykłe i wszystko staje się możliwe.

Dzięki niemu pojawiło się tak wielu adeptów masażu polinezyjskiego w Szczecinie, a nawet kolejnych nauczycieli Ma-uri. Dzięki niemu Polacy zaczęli jeździć na warsztaty do Danii. I wreszcie to on spowodował, że Hemi zaproponował nam udział

w swojej niezwykłej, duchowej wyprawie do Nowej Zelandii.

- Wielki człowiek z Polski - powiedział Hemi na ostatnim warsztacie w Danii.

Wielki duchem, bo wzrostu niezbyt słusznego. Wielki siłą marzeń. Dojrzały, a wciąż pełen młodzięczego zapału, z uśmiechem dziecka przyjmuje zarówno duże sukcesy, jak i drobne porażki. Jest świetnym nauczycielem.

- Jakie są twoje mocne strony, Ryszard? - pyta Hemi na warsztacie.

Ryszard wstaje, rozgląda się niepewnie, jakby szukając pomocy, uśmiecha się, milczy.

- Nie masz mocnych stron? Jesteś nauczycielem Ma-uri i nie masz żadnych mocnych stron?- śmieje się Hemi. - To jest prawdziwy człowiek Huny - wie-dzy tajemnej. To, co najcenniejsze, trzyma ukryte.

Tak już z nim jest. Niczego nie oczekuje, a wszystko samo do niego przychodzi. Pracuje zawsze z najwyższym oddaniem, ale nie szuka sławy czy rozgłosu. A że zmienia przy okazji bieg życia wielu ludzi? Tak po prostu SIĘ DZIEJE.

- Jedziemy, drugi raz taka okazja może się nie powtórzyć - powtarza Ryszard wytrwale, kiedy przychodzę do niego ze swoimi wątpliwościami. - Może to jedyna taka wyprawa w życiu. Wrócimy całkowicie odmienieni.

Ma rację. Jak zwykle.

## *Taniec jako modlitwa*

- Ona wszystko sobie wytańczy – powtarza o mnie Ryszard z przekonaniem.

Wytańczyłam wyjazd do Danii, remont pokoju i nowy samochód, a także lepsze relacje z mężem. Teraz tańczę dla Nowej Zelandii, dla swojego największego marzenia.

Jest we mnie śpiący wulkan energii, który uaktywnia się na słowo “podróż” albo “taniec” czy też “miłość”, w innym przypadku tylko drzemie. Tańczę wytrwale, do tej pory nie opuściłam ani jednego dnia i myślę, że tak będzie nadal. Delfiny ciągle są ze mną. Uwielbiam słuchać ich głosów. Przywołują obrazy wzburzonego oceanu, słońca, wiatru gnającego fale, złotych plaż i ptaków krążących z krzykiem nad wodą.

\* \* \*

Zachód słońca nad morzem. Podziwiam go wspólnie z Jerzym. Słońce całe w złocie i czerwieni. Niebo czyste, bez chmur. Co chwilę zmieniają się odcienie wody, od krwistoczerwonych, poprzez lilaróż i wrzosy, aż do przepięknych seledynów. Morze i niebo sprzysięgły się, aby dać nam ten wspaniały spektakl. Oglądamy go poprzez surową, ciemną linię falochronu wybiegającego w morze. Jednak ja czuję się już zmęczona, poza tym jest mi zimno. Wracamy do naszego domku. Pokazuję Jerzemu wszystkie trzy tańce maoryskie.

Kaczka oznacza umocowanie na ziemi, a więc bazę, podstawę, sprawy materialne i bytowe. Tańczy się ją budując stopami kwadrat, na mocno ugiętych nogach. Bardzo ważna jest praca biodrami, a także ruchy ramion. We wszystkich tańcach każdy element jest precyzyjnie określony i musi być wykonany dokładnie. Na przykład ustawienie stóp pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Ekspresja, siła wyrazu, piękno i gracia - to przychodzi później. Na początku najważniejsze są kroki i opanowanie techniki.

Taniec albatrosa najbardziej mnie porwał od początku. Można przy nim odlecieć. Cechuje go rozmach i siła. Ma moc spełniania marzeń, o ile oczywiście stopy ustawione są pod odpowiednim kątem. Ruchy ramion przywodzą na myśl skrzydła wielkiego ptaka w locie. Na początku zbieramy energię z ziemi, aby przenieść ją do serca, a potem przekazać dalej i wyżej, ludziom lub Bogu. To taniec, dzięki któremu pracujemy na wielu poziomach. Można wzmacniać swoją odwagę lub kreatywność, podnosić poziom energii, przekazywać dobre wibracje innym, wzmacniać miłość w sobie.

Ważny jest też oddech. Bez właściwego oddechu nie ma dobrego tańca ani żadnych efektów.

- Oddychaj, oddychaj! - powtarza Ryszard. - I uśmiechaj się.

Uśmiech w tańcach maoryskich jest niezbędny. Nie można tańczyć z zaciętym wyrazem twarzy albo w smutku czy zamyśleniu. Radość tkwi w muzyce, radość jest w nas, wyraża się poprzez uśmiech.



Ostatni z wielkiej trójki - kotuku - czyli taniec białej czapli. Najbardziej niezwykły, duchowy. Służy do leczenia i uzdrawiania, używa się go przy masażu. Dobre jego opanowanie gwarantuje rozwój duchowy i wszelkie dobra wyższe w naszym życiu. Sprawia mi najwięcej trudności, a jednocześnie fascynuje. Specyfiką masażu polinezyjskiego jest to, że wykonuje się go przy muzyce i w tańcu, właśnie kotuku. Uzdrawianie następuje dzięki połączeniu z wyższymi energiami. Pacjent leczy się sam, my dajemy tylko impuls w postaci dotyku.

- Jesteśmy tylko tancerzami - powtarza zawsze Hemi.

Muzyka maoryska mnie urzeka. Jest w niej harmonia i radość. I miłość, dużo miłości. Po dwóch - trzech dniach przebywania w tej atmosferze nie masz zupełnie ochoty wracać do codziennego życia. Po co? Wszystko, co najlepsze, zawarte jest w maoryskiej muzyce i w tańcu. Miłość, radość, szczęście. Po co więcej?

\* \* \*

Dzień prawdziwej, złotej jesieni. Słoneczny, ciepły, barwny. Spacer do lasu ze Skrolem. Ciepło, parno. Babie lato oplątało, omotało całą moją twarz. Zarzuciło sieć delikatną z nitek tak świeżych, wilgotnych. Nie zrzucam jej, idę przed siebie, niosąc na twarzy makijaż jesienny, niczym drugą skórę. Idę krokiem pewnym, spokojnym. Pogodnie wchodzę w jesień. Nic nie przemija. Babie lato oplątuje łąki,

pola, drzewa, jak co roku. Wieczne, niezmiennie. Bez początku i końca.

## *Moja pierwotna natura*

Ukryta głęboko w sercu, pod szczelną warstwą dobrego wychowania i kultury. Kiedy zaczynam tańczyć, ona jest ze mną. Kiedy kocham się, ona się budzi. Kiedy wpadam w zachwyty nad kwiatem, wodą, układem chmur, ona we mnie płonie. Jest najprawdziwszą częścią mnie samej.

Odzywa się, gdy słyszę transowe rytmy albo po prostu dobrą muzykę. Jest najpiękniejszą częścią mnie samej. Gdy czuję w nozdrzach zapach ognisk, budzą się dawne wspomnienia. Ona idzie ze mną przez wieki. Jest najstarszą częścią mnie samej. Kiedy ogarnia mnie wzruszenie, a całą moją istotę przepęłnia miłość i współczucie, jestem z nią zjednoczona. Jest najlepszą częścią mnie samej.

Ona prowadzi mnie ku przyszłości, jest mostem między nadzieją a marzeniem. Rozwiewa przede mną najcudowniejsze wizje. Jest najjaśniejszą częścią mnie samej. Ona mieszka w mrocznych zakamarkach duszy. Podpowiada zaskakujące, pełne przemocy rozwiązania. Budzi we mnie demony gniewu i złości, chęć mordy, walki i zniszczenia. Jest najciemniejszą częścią mnie samej.

Ona mówi do mnie pradawnymi językami przodków, duchów, roślin i zwierząt. Tylko czasami, w chwilach głębokiego zanurzenia w swoim wnętrzu

trzu, rozumiem tę najdawniejszą mowę. Słucham głosu mojego prawdziwego ja. Ona jest moją najwierniejszą pomocnicą i tłumaczką. Jest najmądrzejszą częścią mnie samej.

Prowadzi mnie przez labirynty przeszłości i przyszłości, przez kolejne poziomy i wyższe światy, odkrywa przede mną tajemnice i zrywa zasłony iluzji. Jest najtajniejszą częścią mnie samej. Prowadzi mnie przez wszystkie wcielenia, zna wszystkie moje sekrety, wszystkie koleje losu i lekcje, które odebrałam. Czasami mi coś podpowiada i odsłania obrazy z najdawniejszej przeszłości. Jest najgłębszą częścią mnie samej.

Kiedy patrzę w gwiazdy, czuję związek z Bogiem i siłą, która mnie stworzyła. Czuję się potężna i nieskończona. Ona wtedy jest ze mną. Prowadzi mnie w przyszłość, ku nieśmiertelności. Jest najodważniejszą częścią mnie samej.

Kiedy przytulam się do drzewa, czuję pulsowanie jego soków i kołysanie korony na wietrze. Czuję, jak wiosną budzę się z uśpienia. Kiedy widzę przed sobą wilgotne oczy sarny, jestem jej niepokojem, zasłuchaniem, gotowością do ucieczki. Jestem pędem, który mnie porywa, gdy tańczę z falami i muzyką przestworzy. Ona łączy mnie wtedy z całą Naturą. Jest najwytrwalszą częścią mnie samej.

Ona budzi we mnie drzemiące na co dzień niebezpieczne siły. Rozpala chęć do samozagłady, niewiści i zatracenia. Prowadzi mnie jedyną drogą na drugi brzeg. Gdy łączę się ze śmiercią w sobie, ona

jest moją przewodniczką w ciemnościach. Jest najgroźniejszą częścią mnie samej.

Moja pierwotna natura jest nieodgadniona. Ma w sobie moc i niewyczerpane możliwości. Czuję się przy niej pyłkiem na wietrze, drobiną piasku, najmniejszą kropelką w oceanie. Lecz ona jest we mnie. Ja jestem nią. Jestem gwiazdowym pyłem, nieskończoną przestrzenią, kosmicznym wichrem. Ona hula w mojej duszy, tworząc wir i zamieszanie. Jest najdzikszą częścią mnie samej.

## *Czarodziej z Neder Randlev*

Hemi przyleciał do Danii na promieniu białego światła. Albo został wysniony przez Katję. Albo przysłał go wielki Kahuna - strażnik Tajemnicy - aby otworzył nam odrobinę oczy na wiedzę zwaną Huną, która zawiera wszystkie mądrości i jest prawie tak stara jak świat. Która wersja jest prawdziwa? Może żadna, a może wszystkie. To nieważne.

Historia mówi, że Hemi przybył do Danii z Nowej Zelandii i spotkał Katję. Od tej pory tworzą jedyny w swoim rodzaju duet. Dobrze jest patrzeć, jak uzupełniają się wzajemnie, jak się całują i wspierają na każdym kroku. Rośnie wtedy wiara w to, że miłość jest możliwa. I to w każdym wieku.

Legenda głosi, że Hemi poprosił Katję o wykonanie naczynia we wzory. Katja bowiem zajmowała się wtedy ceramiką. Gdy zobaczył wykonane dzieło, oniemiał. Było to właśnie to, o czym myślał, chociaż

wcale swej wizji artystce nie przedstawiał. Od tej pory było wiadomo, że są sobie przeznaczeni.

Czy to Katja stworzyła Hemiego? Czy Hemi Katję? Czy też oboje siebie nawzajem? Jak to z legendami bywa, lepiej nie wnikać w ich prawdziwość, ani zagłębiać się w szczegóły, ale przyjąć przekaz taki, jaki jest. Tak bywa lepiej dla legendy i jej bohaterów. Rzeczywistość wygląda tak, że wspólnie stworzyli system nauki masażu polinezyjskiego Ma-uri i zostali jego nauczycielami.

Hemi pochodzi z Nowej Zelandii, a w jego żyłach płynie krew maoryska. Maorysi są tubylcami w Nowej Zelandii, tak jak w Australii Aborygeni. Elementy ich kultury, zwyczajów, wiedzy zostały włączone w system nauczania masażu Ma-uri.

Ucząc się tego masażu, nieuchronnie ocieramy się o świat Maorysów. Poznajemy też – na razie powierzchownie – Hunę, starożytny system wiedzy tajemnej, który przechowywany jest w Nowej Zelandii, podobnie jak i na Hawajach czy Wyspie Wielkanocnej.

\* \* \*

Malutka wioska Neder Randlev, rzucona wśród wzgórz, łąk i pól. Z jednej strony droga prowadzi do duńskiego miasteczka Oder, z drugiej do miejscowości Hov nad samym morzem, gdzie w basenie jachtowym kołysze się tysiąc jednostek. W powietrzu czuć słony smak, gdy wiatr wieje od morza, albo słodycz zbóż, kiedy wieje od lądu. Domki z surowej cegły rozłożyły się wzdłuż drogi.